

Michał Paweł Markowski

University of Illinois at Chicago

Osobliwym gawędom nie ma końca (Adamowi Lipszycowi w odpowiedzi)

Abstract

No end to weird narratives

In his polemic with the author of ‘Powszechna rozwiązłość: Schulz, egzystencja, literatura’, Adam Lipszyc defended a messianic interpretation of Schulz’s work, rejected by Markowski wholesale as based on insufficient textual evidence. According to Markowski all attempts at inscribing Schulz in the messianic tradition, no matter how defined, must fail because they do not acknowledge a parodic and ironic dimension of Schulz’s worldview, which ruins any serious access to religious thinking of which messianism is a clear example

Słowa kluczowe: Schulz Bruno, mesjanizm, parodia, ironia

Keywords: Schulz Bruno, messianism, parody, irony

1. Nie mam pretensji do Adama Lipszyca o to, że nazywa moją książkę „momentami niezłą, przeważnie przeciętną, chwilami kiepską”. Rozumiem, że jako strażnik wykładni, którą odrzucam w mojej książce, jako jednostronną i niezbyt dobrze udokumentowaną, by nie rzec, wyssaną z palca i nieopartą niczym poza paroma mglistymi aluzjami i zupełnie zbędną intelektualną ekwilibrystyką, że jako strażnik tej wykładni, przeciwko której moja książka została napisana, musi postawić mnie znacznie niżej niż siebie samego i innych zwolenników ideologii mesjańskiej. Rozumiem ten strategiczny zamiar, walka o uznanie – Hegłowskie rzecz jasna – jest poważną częścią pracy każdego humanisty, sam wielokrotnie w nią się angażowałem, więc nie będę tu

strzępił sobie języka. Nie podoba się Lipszycowi, że odrzucam wykładnię mesjańską dzieła Schulza? Proszę bardzo: interpretacja to nie jest zabawa dla duchów letnich. Tylko niech jego zaciętrzewienie z powodu odebranej zabawki nie przesłania mu tego, co jest w książce napisane.

2. Pomijam prostackie inwektywy i wysublimowane potrzeby Adama Lipszyca i skupiam się na tym, co recenzent wyczytał z książki. Zaczyna się od tego, że za „kuriozalny” Lipszyc uważa mój punkt wyjścia, w którym nie chcę zajmować się Schulzowską stylistyką (metafory, tropy), a za „zabawny” kontrast z pominięciem stylistyki uznaje moje zdanie, że „w języku dzieją się rzeczy najciekawsze”. Ciesząc się jak dziecko, że przychwycił mnie na niekonsekwencji, nie rozumie podstawowej rzeczy: że zdania te nie tylko nie są sprzeczne, ale wręcz domagają się rozłączności. Owszem, nie zajmuję się w mojej książce stylistyką, bo interesuje mnie (tu i w innych książkach) ścisły związek języka i egzystencji, którym jak dotąd nikt się w przypadku Schulza nie zajął. Zajmowano się analizą stylistyczną bardzo poważnie (i wiele na ten temat napisano ciekawych rzeczy), ale okazało się, że ten typ badań dość szybko się wyczerpał. Poza tym, że Lipszyc jest mądrzejszy i subtelniejszy, różnimy się tym, że ja mam pełny obraz Schulzologii, a on, co sam przyznaje, nie ma, oraz tym, że ja staram się powiedzieć coś, co nie zostało jeszcze z Schulzem powiązane (i dlatego jest na etapie próbowania i przymierzania), a on, pewny mesjańskiej wykładni, uznaje, iż należy ją jedynie doskonalić przez dodawanie kolejnych hopla-prestidigitatorskich chwytów.

Nie rozumiem za bardzo, dlaczego „bardzo wątpliwa” jest moja teza o ciągłości Schulzowskiego dzieła i dlaczego „filozofia” Schulza miałyby (recenzent ma tu poważne wątpliwości) „jakoby” się wyrażać w różnych gatunkach, nie zmieniając swojego kształtu. Lipszyc cytuje, ale nie rozumie. Pisałem o tym, że w dziele Schulza jest kilka sprzeczności, nad którymi przechodzi się najczęściej do porządku dziennego. Nie da się pogodzić z sobą kilku zasadniczych fragmentów, co oznacza, że albo Schulz się gubi w tym, co pisze, albo istnieje gdzieś, ponad lub pod różnymi gatunkami, jakaś myśl, która pozwoli te sprzeczności uśmierzyć. Jestem pewny, że tę zasadę pokazałem. I jestem pewny, że Lipszyc tej zasady nie jest w stanie znaleźć, nie odwołując się do Hegłowsko-Nietzscheańskiej tradycji (której dotąd nikt nie przywołał), albo odwołując się do ulubionej tradycji mesjańskiej (przywoływanej na kopy). Zgadzam się, że „każdy ma takiego Hegla i takiego Nietzschego, na jakich sobie zasłużył”. Uważam, że nie zasłużyliśmy sobie na Hegla i Nietzschego, którego nie mogliśmy przełożyć na język, dający się zastosować w wielu różnych kontekstach, poza jednym, najważniejszym, a mianowicie kontekstem filozofii akademickiej. Nie miałem zamiaru, co ewidentnie rozczarowuje Lipszyca, dawać „pełnej” Hegłowskiej wykładni Schulza, podobnie jak mówiąc „całościowa” nie rozumiem przez to takiej wykładni, która zawrze każdy szczegół. Interpretację pojmuję jako przymierzanie różnych strojów, raz tego, raz tamtego, a nie jako znajdowanie ostatecznej odpowiedzi na to, jak się rzeczy

mają. I dopóki ktoś nie pokaże, że inna wykładnia jest ciekawsza, bo odwołując się do ogromnej liczby tekstów mówi coś całkiem innego, niż dotąd twierdzono, nie dam się przekonać i zastraszyć sądami typu „ale to żenujące”. Lipszyca może drażnić to i owo, ale dla jego przyjemności nie zrezygnuję z „przydługich rozważań metodologicznych”, bo są one częścią większego dyskursu. Odsyłają zarówno do tego, co się pisze w Polsce o literaturze, jak i do tego, co ja sam o niej pisałem. Gdybym ja recenzował Lipszyca, przeczytałbym uważnie jego książki, by się dowiedzieć, co też ciekawego się zmieniło w jego poglądach albo z czego nie może zrezygnować za cenę samookaleczenia.

3. Ale i ten rodzaj dąsów i grymasów jestem w stanie przyjąć, bo są to rzeczy mniejszej wagi. Co rzeczywiście waży, to nierozumienie rzeczy bardziej fundamentalnych.

Lipszyc powiada, że dwa wątki kompletnie do siebie w książce nie pasują. Pierwszy, dopatrujący się w „powszechnej rozwiązalności” głównej zasady Schulzowskiego świata, i drugi, łączący „egzystencję i literaturę”. Za „patos niskiej próby” i za „najbardziej zawstydzający” fragment książki Lipszyc uznaje moje stwierdzenie, że interesuje mnie, dlaczego Schulz „rozpaczliwie trzymał się literatury”. Rozumiem to doskonale: Lipszyca egzystencja nie interesuje, mnie bardzo. Lipszyc od razu skacze do siódmego nieba, ja nie widzę zarysów pierwszego. Dla Lipszyca literatura to przebranie idei, dla mnie narzędzie obłąkawiania świata. Dla Lipszyca cytowane przeze mnie kawałki Schulza, które nie zawierają mesjańskich aluzji, są „niezbyt interesujące”, dla mnie bardzo. Nie ma tu zgody, nigdy nie było, te dwa stanowiska nigdy się razem nie zejdą, ale czemu od razu mało elegancko grać na uczuciach? Egzystencja jest zawstydzająca? Owszem. Uważam, że Schulz był tego samego zdania, i mogę zacytować kilka fragmentów, które Lipszyc na pewno uzna za nieciekawe.

4. Przejdźmy do spraw poważniejszych. Lipszyc powiada (cytuję dłuższy fragment):

Trzeba się zdecydować: *albo* życie jest panironiczną maskaradą form, które wyłaniają się z żywiołu, by zaraz na powrót się rozpaść, teatrykiem, w którym zamazana jest granica między tym, co naturalne, a tym, co sztuczne, *albo* jest coś takiego, jak czyste życie, które człowiek stara się poddać procesowi uśensownienia, nazwania, mityzacji. *Albo* działalność artystyczna polega na rozwiązywaniu zakreślonych form cesarsko-królewskiej prozy, na przypominaniu o wiecznej metamorfozie świata i niedostateczności każdego kształtu, *albo* idzie w niej o desperacką obronę przed naporem czystego życia mocą interpretacji.

Otóż rzecz w tym, że nie trzeba się decydować. Owo życie rozwiązało, którego sens stanowi tworzenie i rozszypywanie się form, to nie jest życie czyste, które (według zrównania czystego bytu z czystą nicością) zbudowane jest na nieistnieniu. Schulz, jak każdy człowiek i artysta podminowany depresją,

panicznie bał się braku form i pustki, która za tym by szła (czyste życie to brak ludzkich form, to tylko ślepy żywioł, który prze naprzód; biologia nie ma żadnego sensu, a opiera się na zmianie), ale jako ateistyczny dialektyk, nie wierzył także, by formy kiedykolwiek się ustały, zafiksowały, scaliły w jakiś zbawienny zbiór. Teatrzyk natury jest także naszym teatrzykiem o tyle, o ile przeczy nicości. Nie istnieje u Schulza opozycja natury i kultury, dlatego człowiek może naturalne sztucznie kształtować i naturalizować ukształtowane sztucznie. Istnieje natomiast opozycja egzystencji i życia, przy czym ta pierwsza jest sposobem, w jaki człowiek chroni się przed naporem nicości, temu drugiemu zaś odmówiony jest udział w języku. Jeżeli Schulz należy do tradycji heglowsko-nietzscheańskiej, to właśnie dlatego: świat albo ma sens (bo się w naszym wysłowieniu ulokował), albo sensu nie ma, bo się przed naszą dyskursywną interwencją wzbrania. Rzecz nie w tym, że wszystko się u Schulza zmienia, bo to byłoby za proste – bardzo proszę czytać mnie dokładnie. Rzecz natomiast w tym, iż rzeczywistość przechodzi przez język, kiedy sens wchodzi w rachubę, i dlatego wszystko, co ma mieć sens (a tylko to może się w literaturze znaleźć), dzieje się w języku. A jak nie przechodzi, to mamy kłopot, który się nazywa depresja, albo atak czystej biologii, na którą nie ma dyskursywnego uchwytu. I dlatego nie ma tu, jak lekkomyślnie histeryzuje Lipszyc, sprzeczności, bo artysta rozwiązuje formy (by je na nowo zawiązać etc.) i tym samym broni się przed bezkształtem, który nie należy do ludzkiego obszaru. Jeżeli Lipszyc chce nazwać to rozumowanie „osobliwą gawędą”, bardzo proszę. Ja nazwę jego stanowisko pogardą dla ludzi, którzy muszą się czegoś trzymać (choćby był to język), żeby nie zwariować.

5. Skoro Lipszyc nie rozumie tak elementarnych rzeczy, to jak może zrozumieć drobiazgi lżejszej natury, jak na przykład moje odczytanie roli ojca. Tradycyjnie przyjmuje się, że Schulz pisarz podziwia ojca, ale identyfikuje się z synem. Ja powiadam inaczej (i głównie w przypisach, bo nie jest to temat główny mojej rozprawy): trzeba na nowo przemyśleć relacje męsko-kobiece u Schulza, bo w większości powtarzane tu są banały. Lipszyc twierdzi, że wikłam się tutaj w sprzeczności, bo przywracam ostry dualizm, kiedy go wcześniej odrzuciłem. Jeżeli powiadam, że „nie wiadomo, kto jest naszemu małemu bohaterowi bliższy: matka czy ojciec” [85], i kiedy odwracam – dzięki Deleuze’owi, czego Lipszyc nie dostrzega – role między matką i ojcem, to gdzie tu jest „ostry dualizm”? W głowie Lipszyca, nie w mojej książce (na pewno nie w tej, w poprzedniej owszem, ale zdaję z tej pomyłki uczciwie sprawę). A kiedy, moim zdaniem dość konsekwentnie, staram się zastosować myśl Deleuze’a o masochizmie (strażnikom mesjańskiej idei nigdy ta myśl do głowy nie przyjdzie, bo mają w pogardzie niską ludzką kondycję, która nie da się przełożyć na akt mesjańskiego zbawienia, jak się to dzieje w przypadku zwykłej perwersji), który rolę łądotwórczą przypisuje kobietom, czyli matce i Adeli, odwracając tradycyjny rozdział ról (a więc naruszając metafizyczny dualizm), to Lipszyc „się poddaje” – na widok Adeli zamiatającej jego ptasią imprezę – bo nie rozumie,

że nagle może się okazać, iż kto walczył o wyższy porządek, może przegrać w porządku niższym, gdzie kto inny przejmuje władzę.

6. Kiedy nie wiadomo o co chodzi, gdy ktoś kogoś wyzywa, to znaczy, że chodzi o coś fundamentalnego i nie jest to tania psychoanaliza, lecz zwykła heglowska potyczka. Otóż Lipszyc nie może przeboleć, że zamykam Schulza w świecie immanencji, z którego chciałby on go wydostać za pomocą aktu mesjańskiego, który „jest przede wszystkim zakwestionowaniem samowystarczalności domkniętej immanencji, rozdarciem opresyjnego imperium tego świata”. Według Lipszyca, parodia Schulza ma wartość ocalającą, ale ocala nas ona od niewystarczającego objawienia i odmyka świat, w którym ugrzęźliśmy. Otóż to właśnie wydaje mi się chybione, a co więcej: mało udokumentowane. „Te wszystkie kabalistyczne i mesjańskie tropy”, jak pisze Lipszyc, czyli nader wąła garsteczka referencji, obracana w kółko przez wyznawców mesjańskiego odkupienia, mają na celu – jak to rozumiem – pokazanie, że żadne zbawienie nie jest w tym ani innym świecie możliwe, bowiem wszystkie eschatologiczne narzędzia się wyczerpały. Żeby pogodzić błżeństwo ze zbawieniem trzeba nie lada wysiłku egzegetycznego. Lipszyc powiada, że tylko jako parodia mesjanizm jest skuteczny. Problem polega na tym, że nie jest on skuteczny w ogóle, Mesjasz pojawia się bowiem u Schulza tylko raz, i to jako fetyszystyczny złodziejaszek. Jest to osobliwa gawęda, według której sparodiowany mesjanizm jest mesjanizmem jeszcze wyższego rzędu, właśnie dzięki parodii.

7. Nie ma więc i tu zgody (bo być nie może). Kiedy Schulz pisał do Witkacego, że łączy ich „skłonność do aberracji w kierunku persyflażu, bufonady, autoironii”, to na pewno nie miał na myśli tajemniczej subwersywnej idei mesjańskiej, która wyzwoliłaby nas spod jarzma nieudanej kreacji, lecz to, że parodia broni przed jakimkolwiek marzeniem o wyjściu poza ten świat, który mamy i z którym trzeba robić to, co możliwe. W najbardziej zawstydzającym fragmencie swojej recenzji Lipszyc pisze:

Krocząc wąską ścieżką oddzielającą judaizm od modernizmu, w szalonym geście stawiając na to, co tandetne i odrzucone, Schulz starał się prowadzić swoją mesjańsko-artystyczną, rewolucyjną grę, w której chodzi chyba jednak o coś więcej niż tylko o horyzontalny, bezcelowy i cokolwiek mechaniczny dryf kształtów, krystalizujących się i rozpadających podług rytmu powszechnej rozwiązłości.

Nie był to żaden gest szalony, tylko świeckie przekonanie, że skoro nic w tym świecie nie jest wolne od parodii, to oznacza to, iż jedyne wyjście prowadzi od jednej parodii do drugiej. Jeśli, jak uważam, ontologia poprzedza tu teologię, to Schulzowska błżejada pokazuje niemożliwość pogodzenia ludzkiej egzystencji z mesjańską obietnicą. Piszę o tym obszernie w książce, ale Lipszyc tych fragmentów nie cytuje.

8. Nikt nie powiedział jednak, że chodzi tu o „bezczelowy i cokolwiek mechaniczny dryf kształtów”, któremu należałoby przeciwstawić projekt mesjański, by uratować sens. Powiedział natomiast, wielokrotnie, że egzystencja jest na tyle trudna, iż nie zawsze wszystko się udaje, więc trzeba próbować jeszcze raz. I jeszcze raz. I następny. I tak do końca, kiedy się okaże, że nie było w tym próbowaniu żadnej nagrody poza samym próbowaniem. Ale kto tego nie rozumie, ten rozpaczliwie wygląda mesjańskiego wyzwolenia, choćby wszystkie znaki na ziemi i na niebie mówiły, że jest wprost przeciwnie, co oczywiście tylko dowiedzie, na mocy osobliwej gawędy, prawdziwości autentycznego, nie zaś udawanego aktu mesjańskiego. W ten sposób można dowieść wszystkiego, na co się ma żywnie ochotę, nawet tego, że *Powszechna rozwiązłość* jest niewarta uwagi.